

Robert Ryss

Obozy pełne krwi i białych plam

Rocznik Chojeński 3, 309-324

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Robert Ryss

Chojna

OBOZY PEŁNE KRWI I BIAŁYCH PLAM

Działające od 2004 roku szczecińskie Stowarzyszenie Czas Przestrzeń Tożsamość wydało właśnie trzecią książkę w swej serii „Na pograniczu”. Nosi tytuł *Złodzieje wiary i nadziei*¹, a autorem jest Remigiusz Rzepczak – nauczyciel z Mieszkowic, dziennikarz współpracujący w latach 2002–2007 z „Gazetą Wyborczą”, a obecnie z „Kurierem Szczecińskim”. Wcześniej jego wybrane reportaże ukazały się w książkach: *Ślady*² i *Z archiwum Sz. Śladem szczecińskich historii niezwykłych*³ (część II, 2008). Nowa książka jest owocem rozmów z mieszkającymi w regionie szczecińskim piętnastoma byłymi więźniami hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Powstała przy współpracy Landeszentrale für politische Bildung Mecklenburg-Vorpommern. Dobrą tradycją stowarzyszenia jest wydawanie książek w dwujęzycznej wersji polsko-niemieckiej, a także staranne opracowanie graficzne i wielość ilustracji, którymi są fotografie autorstwa Andrzeja Łazowskiego – prezesa CPT. Tym razem to portrety rozmówców. Stowarzyszenie konsekwentnie zachowuje otwartość na region (z reguły słabo znany w samym Szczecinie), co uwidacznia się także w najnowszej książce, gdyż jej bohaterowie mieszkają nie tylko w stolicy województwa, lecz także w małych miastach: Gryficach, Dębnie, Mieszkowicach, Cedyni.

Autorem słowa wstępnego do *Złodziei wiary i nadziei* jest wybitna postać: Władysław Bartoszewski – także były więzień kacetu (KL Auschwitz nr 4427), w czasie II wojny uczestnik ruchu oporu, powstaniec warszawski, po 1989 roku dwukrotnie minister spraw zagranicznych. Napisał m.in., że „dwaj doświadczeni autorzy – dziennikarz i artysta fotograf (...) wśród ludności polskiej dzisiejszego Pomorza Zachodniego odnaleźli byłych więźniów Auschwitz, Majdanka,

¹R. Rzepczak, *Złodzieje wiary i nadziei*, Szczecin 2011.

²B. Woźniak, R. Rzepczak, *Ślady*, Mieszkowice 2008.

³*Z archiwum Sz. Śladem szczecińskich historii niezwykłych*, część II, Szczecin 2008.

Stutthofu, Mauthausen i Ravensbrück i zachęci ich do podzielenia się wspomnieniami, będącymi dzisiaj już częścią najnowszych dziejów, ale także nauką płynącą z doświadczeń historii, która w różnych punktach świata powtarza się mimo wielu wysiłków i zaangażowania ludzi dobrej woli. Refleksja historyczna w duchu prawdy o faktach może mieć znaczenie oczyszczające, a nie jątrzące, pod warunkiem, że dokonywana jest w słusznym przeświadczeniu, iż zło nie powinno być zapomniane ani nieznanie, jeśli poczynić mamy postępy na wspólnej drodze innego, lepszego współistnienia narodów, szczególnie zaś narodów ze sobą sąsiadujących i skazanych na jakąś formę stałego kontaktu. Oby ta refleksja skłaniała nas do poszukiwania drogi współżycia, a nie tylko życia obok siebie czy też przeciw sobie”.

Tragiczne losy

Anna Andres z Gryfic. W 1939 roku miała 16 lat i mieszkała pod Przemyślem. Wpadła w niemiecką łapankę. 16 lutego 1943 r. została uwięziona w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Musiała ciężko pracować. Walczyła ze strachem przed śmiercią i z głodem. – W obozie nie dawało się skupić myśli. Jeśli to się udało, to marzyło się o tym, żeby się najeść. Zrobił mi się duży guz pod lewą pachą. Bolało mnie to, nie mogłam kopać. Bałam się jednak iść do szpitala, bo stamtąd gorączkujących zabierali na spalenie – opowiada w książce. Po półtora roku znalazła się w innym obozie: Mauthausen. Wyzwolili ją Amerykanie i wróciła pod Przemyśl. Ale wkrótce, w 1947 r. jej wieś opustoszała wskutek akcji „Wisła”. Ona też przeniosła się – pod Gryfice. – Nie była to taka dobrowolna przeprowadzka – mówi. Do dziś, gdy słyszy niemiecki język, paraliżuje ją strach. I są sny. – Śni mi się, że jestem w obozie. Mam dziecko na ręku. Stoję w kolejce do krematorium. Mama krzyczy do mnie: Aniu! Uciekaj! Uciekaj! Budzę się. Obejmuję męża za szyję i proszę: Mów do mnie! Mów do mnie, że jestem w domu! Dziękuję Bogu, że żyję.

Antoni Dobrowolski – rocznik 1904, Dębno. Dziś ma 107 lat. Był nauczycielem w Rzeczyco koło Tomaszowa Mazowieckiego. Podczas okupacji wstąpił do Tajnej Organizacji Nauczycielskiej, która prowadziła konspiracyjne lekcje polskiego i historii. W 1942 r. aresztowany przez gestapo i wywieziony do Auschwitz-Birkenau. Gdy leżał z tyfusem na bloku dla chorych, był wyznaczony jako rezerwowo do gazu. Ale ci wyznaczeni w pierwszej kolejności zgłosili się w komplecie... Potem przeniesiono go do Gross-Rosen, a następnie do Sachsenhausen. Wyzwolili go Rosjanie. Po wojnie zamieszkał w Dębnie. Przez całe dziesięciolecie nawet najbliższym nie opowiadał o obozie. Zdecydował się na to, gdy był już stulatkiem... Bramę obozu przekroczył ponownie dopiero

w 1995 roku. Przeżył to tak, że musiał zażyć nitroglicerynę. Rzepczak pyta sam siebie: „Czy mam prawo pytać? Czy mogę zadawać pytania komuś, kto przez lata wyciszał wspomnienia, rzucając się w wir pracy i osobistych obowiązków? Czy mogę prosić o powrót do bolesnych przeżyć?”. To zasadne pytania, wrócimy do nich później...

Zygmunt Gronowski z Mieszkowic urodził się w 1930 r. w Warszawie. Wpadł w łapance, Niemcy wywieźli go na roboty u bauera. Uciekł, ale został złapany. Na gestapo w Gdańsku przykuli go do stołu i kazali wybrać sobie bicz. Zapamiętał tylko kilka uderzeń. W celi przeżył załamanie i chciał sobie odebrać życie, ale współwięźniowie zaopiekowali się nim. Potem zamknięto go w obozie w Stutthofie. I stały element wszystkich wspomnień: z głodu cały czas myślało się o jedzeniu. No i strach. Na przykład gdy zobaczył pusty plac, na którym jeszcze kilka godzin wcześniej tłoczyły się młode, ładne Żydówki. Ale on przeżył. Nie doczekał jednak tej książki. Zmarł 31 maja 2010 roku.

Józef Gumowski ze Szczecina. W 1939 roku miał zaledwie 5 lat, ale wojna nie oszczędziła mu cierpień. Niemcy namawiali ojca, by podpisał volkslistę. Nie zgodził się, więc wysiedlono ich z domu w Biskupicach. Jako dziecko w obozie w Potulicach napatrzył się na okrucieństwo i śmierć. Niemcy zamordowali tam jego niepełnosprawną siostrę. Nawet nie wie, gdzie zapalić jej świeczkę. W lecie 1944 roku wypuszczano dzieci poniżej 13 lat, jeśli miał się kto nimi zaopiekować. Na szczęście była ciotka.

Stanisław Idzikowski w 1944 roku w Warszawie jako 17-letni konspiracyjny łącznik został aresztowany i wysłany do Mauthausen. Do pracy chodzili obok szubienicy, na której wisieli współwięźniowie. Nie kryje, że bał się. 5 maja 1945 roku obóz wyzwolili Amerykanie. W pasiaku wrócił do Warszawy, ale nie znalazł tam dla siebie miejsca. W latach 50. osiedlił się w Mieszkowicach. Autor książki zapytał go, czy ma żal do Niemców za obozowe cierpienia. – Człowiek jest tylko człowiekiem – odpowiedział.

Katarzyna Kruszyńska z Cedyni – pochodzi z Lubelszczyzny. W 1943 r. miała 11 lat, gdy Niemcy wysiedlili jej wieś. Zawieźli ich na Majdanek: ją, rodziców i sześcioro rodzeństwa. Stamtąd do Niemiec na roboty, gdzie ojciec zachorował i zmarł. Po wyzwoleniu wracali furmanką. 10 maja 1945 roku zatrzymali się w Cedyni i już zostali, choć jeszcze mieszkali tu Niemcy. – Nikt nie myślał, że tu zostanie się aż do tej pory. Myślało się: „Przyjdą Niemcy i wygonią”. Mieliśmy taki odruch, że posiedzimy parę tygodni i pojedziemy dalej – opowiada w książce. Teraz już przywykła, że tylu Niemców codziennie przyjeżdża do Cedyni na zakupy, a niektórzy mówią sprzedawcy po polsku „Dzień dobry”. Gdy wspomina przeszłość, żal jej utraconego dzieciństwa.

Andrzej Krzynówek ze Szczecina. Jako dziecko mieszkał z rodziną pod Dąbrową Górnica. Ojciec zaangażował się w konspirację i całą rodzinę na początku 1943 roku aresztowało gestapo. Mały Andrzej miał zaledwie 4 lata. Trafił z bratem do obozu w Kietrze, a rodzice do Auschwitz. Nigdy ich już nie zobaczył: ojciec został zabity jeszcze w tym roku, a matka w następnym. Jego i brata po sześciu miesiącach zwolniono. Wychowywały go ciotki. – Nie potrafię w stosunku do Niemców być na luzie. Mój uraz do nich jest silny – mówi Rzepczakowi.

Bronisława Krzyżanowska z Mieszkowic w 1943 roku mieszkała pod Bilgorajem, gdy w wieku 10 lat znalazła się z matką i trzema siostrami na Majdanku. Był to odwet Niemców za to, że wieś pomagała partyzantom. Ojca obóz ominął, bo schował się w zbożu. – Naszedł na niego Niemiec. Tato zaczął się podnosić, a on go nogą przycisnął do ziemi i poszedł dalej. Takie szczęście miał. To był jakiś dobry Niemiec – wspomina w książce pani Bronisława. Rok później Majdanek wyzwoliła Armia Czerwona. Wrócili do swej wsi, ale była bieda, więc w latach 50. wyjechali na Ziemię Zachodnie. Bronisława Krzyżanowska po wojnie na Majdanku była tylko raz, żeby w archiwum potwierdzić swój pobyt w obozie.

Czesław Nadolny (Szczecin, rocznik 1923). Podczas wojny w Chojnicach rozpowszechniał nielegalne ulotki. Gestapo aresztowało go. Siedział sześć tygodni w celi śmierci. Jednak wywieźli go do Gross-Rosen. Pracował w kamieniołomie. – To był najgorszy z obozów, w których byłem. Na przykład raz esesman wybrał sobie więźnia. Zerwał mu czapkę z głowy i rzucił ją przed siebie. Kazał mu po nią biec i wtedy go zastrzelił. Poza tym przez dwa, trzy tygodnie pracowałem w krematorium. To było okropne. Ciała wrzucano tam jak jakieś paczki. Nie można jednak było filozofować. Myślało się o tym, żeby przeżyć – wspomina. Tu jego opowieść o pracy w krematorium szybko się urywa. A może dopiero powinna się zacząć?... Jak przetrwał? – Gdy trafiłem do obozu, powiedziałem sobie: Zapomnij o wszystkim. Zapomnij, że się nazywasz Czesław Nadolny. Jesteś numerem 27479. Musisz przeżyć – zwierza się w książce. Po wojnie chciał wymazać obóz z pamięci. – Staralem się o tym nie myśleć. Byłem młody i było mi łatwiej to zrobić. Teraz jest mi trudniej. Wspomnienia nachodzą mnie najczęściej wieczorem. Powracają w nich rzeczy makabryczne i świadomość tego, że to wręcz niemożliwe, że ja to przeżyłem. Widziałem w obozie poniżenie i śmierć. Przez to trudno czasem zasnąć.

Po maturze wyjechał do Szczecina. Na zaproszenie Fundacji im. Maksymiliana Kolbego zaczął wyjeżdżać do Kolonii i Monachium. W wypełnionych szczelnie salach opowiadał niemieckim gimnazjalistom i studentom o pobycie w obozach. – Przez trudne przeżycia z przeszłości doceniam to, co jest teraz –

podkreśla. – Poza tym trzeba mieć trochę poczucia humoru i nie dyszeć nienawiścią. Warto również być łagodnie usposobionym do ludzi.

Lucjan Olczyk (Szczecin). Trafił do Niemiec na przymusowe roboty. Aresztowano go tam za potajemne roznoszenie listów wśród jeńców. W czerwcu 1944 r. zamknięty został najpierw w obozie koncentracyjnym Mittelbau-Dora, a potem w Mauthausen. Miał 19 lat. – Schodami śmierci, liczącymi sto osiemdziesiąt sześć stopni, nosilem kamienie ze słynnego kamieniołomu Wiener Graben. Więźniowie padali z wyczerpania albo byli spychani w przepaść przez esesmanów i kapo – opowiada. Potem był w podobozie Floridsdorf w Wiedniu. Pamięta widok więźniów powieszonych w toaletach i utopionych w beczkach z wodą. – Każde komando schodzące z pracy przynosiło też trupy, nawet nie na noszach, a na zwykłych kijach – wspomina. Komendant obozu Anton Streitwieser zabijał więźniów, strzelając z nienaacką w podstawę czaszki. Gdy zbliżał się front, w szpitalu obozowym ok. 70 chorych uśmiercono zastrzykami. Zdrowych pędzono ponad 180 km w marszu śmierci. – Gdy ktoś przykucnął, chciał odpocząć, to już nie wstał. Strzelali w tył głowy – pamięta pan Olczyk. Po wojnie wrócił do rodzinnej wsi w Świętokrzyskiem, ale po studiach na AWF dostał nakaz pracy w Szczecinie. Powtarza, że trzeba przebaczać, żeby budować lepszą przyszłość. – Wolność, demokracja, humanitaryzm nie są dane raz na zawsze, trzeba tego pilnować, dbać i walczyć, musimy to robić wszyscy razem – mówi.

Zbigniew Peć ze Szczecina miał 16 lat, gdy walczył w powstaniu warszawskim. Niemcy wygarnęli go z piwnicy. Dzięki temu, że zdążył zdjąć panterkę i założyć cywilne ubranie, uniknął ulicznej egzekucji. Ale jako „polski bandyta” trafił do Oświęcimia. – Niektórzy funkcyjni byli pozbawieni wszelkich zasad i godności. W bloku byli tacy, którzy próbowali innych wykorzystywać. Jeden drugiemu ukradł kawałek chleba. Głód to coś okropnego. Przynosili nam zupełną drewnianą beczkę. Niektórzy byli gotowi zeskrobać i zjeść osad z nasiąkniętych nią desek – mówi. Katorżnicza praca – wbrew napisowi na bramie obozu – nie czyniła wolnym, lecz pogłębiała ogromne upokorzenie. Musieli nosić kamienie: – Sziłiśmy z nimi jakieś pięć kilometrów za obóz. Następnego dnia wracaliśmy po nie i odnosiliśmy je w to samo miejsce. Poniżano nas przez tę bezsensowną pracę. Niektórzy tego nie wytrzymywali. Rzucali się na druty – wspomina. Przeniesiono go do Buchenwaldu, gdzie w kopalni soli potasowej kilkaset metrów pod ziemią więźniowie budowali halę do produkcji części samolotowych. Umierali głównie z wycieńczenia. Po wojnie wyjechał do Wrocławia. Został oficerem wojsk zmechanizowanych, ale cały czas ukrywał, że w czasie wojny był w AK. Od 1971 r. mieszka w Szczecinie. On także na zaproszenie Fundacji im. Maksymiliana Kolbego opowiadał młodemu Niemcom o obozie. – Mało wiedzieli na ten temat, bo np. ktoś zapytał, czy z obozu można było dzwonić do domu – mówi.

Klementyna Przygocka ze Szczecina mieszkała w Sztabinie koło Augustowa. Ojciec był kiedyś wojskowym, więc aresztowało go najpierw NKWD, a potem gestapo. Uciekł, ale gdy ukrywał się w domu, wyspał go kolega. Niemcy aresztowali całą rodzinę i wywieźli na roboty koło Tylży. Uciekli i poszli do partyzantów w augustowskich lasach. Znow nakryli ich Niemcy i bili, żeby powiedzieli, kto zabił na drodze folksdojca. Klementyna wytrzymała i nikogo nie wydała, choć przecież była jeszcze dzieckiem. Tak jak ojciec, dostała wyrok śmierci. Ale zabili tylko ojca, a ona trafiła do Ravensbrück. – To było okropne, nie do opowiedzenia. Piekło – wspomina. – Ciągłe byłyśmy głodne. Do pracy szło się na czczo, tylko po kawie zbożowej. Potem dostawałyśmy zupę z buraków pastewnych, razem z liśćmi. Wieczorem ćwierć bochenka małego chleba, kosteczkę margaryny i łyżkę marmolady. Zjadałam to na jeden raz. Nieraz chciałam coś zostawić na następny dzień. Rano myślałam, że mi to ukradli, a ja sama zjadłam, przez sen – opowiada. Pod koniec wojny pędzono je w ucieczce przed zbliżającym się frontem. Jadły korzonki traw. Jak któraś zasłabła i upadła, to ją zastrzelili i spychali do rowu na poboczu. Uratowała jedną towarzyszkę niedoli: zdjęła z szyi różaniec z chleba, zamoczyła w wodzie i podała osłabłej współwięźniarce, która dzięki temu doszła do siebie. Wojna się kończyła. Wróciła do babci w Sztabinie. Gdy odzyskała siły, wyjechała na „Ziemie Odzyskane”. Szczecin widziała już wcześniej przez okienko w wagonie, gdy wieźli ją do obozu. – Pomyślałam, że tak bym chciała tu wrócić, jak przeżyję. I wróciłam.

Irena Stachecka ze Szczecina mieszkała w czasie wojny w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu. W powstaniu Niemcy weszli do mieszkania i spalili cały ich dobytek. Razem z matką i siostrą znalazła się w obozie w Pruszkowie, potem był Bergen-Belsen i Ravensbrück. Witał je identyczny napis na bramie, jak w Auschwitz: „Arbeit macht Frei”. Tam je rozdzielono: siostrę wywieźli do Sachsenhausen, a ją z matką do podobozu w Neubrandenburgu. Ewakuowano je w ucieczce przed frontem. Przeżyły marsz śmierci i doczekały wyzwolenia przez Amerykanów. Odnalazły też siostrę. Zakochała się w niedawnym więźniu z Sachsenhausen. Wrócili razem do Polski. Ale z ich domu w Warszawie nie zostało nic. W styczniu 1946 r. przyjechała z narzeczonym do Szczecina. O wojennych przeżyciach mówi: - Można przebaczyć. Nigdy jednak nie da się zapomnieć.

Janina Tyszkiewicz (Szczecin). Mieszkała w Poznaniu. Już miesiąc po wybuchu wojny wstąpiła do konspiracyjnego Związku Walki Zbrojnej. Za ulotki gestapo aresztowało ją i rodzinę. Podczas przesłuchań odbito jej nerki. Przed sądem specjalnym w Berlinie dostała dożywocie. Wyrok miała odbywać w Ravensbrück, wraz z mamą i siostrą. Mama zachorowała i umarła, a w zasadzie Niemcy ją zamordowali, bo dali zastrzyk z fenolu. W Bergen-Belsen widziała, jak eses-

man złapał za nóżki urodzonego przez więźniarkę noworodka i zabił, uderzając o futrynę. 17 kwietnia 1945 r. wyzwolenie przynieśli Anglicy. Miała 25 lat. Ale zaraz potem o włos nie umarła, bo pomagając w lazarecie, zaraziła się tyfusem. Wróciła z siostrą do Poznania. W styczniu 1946 r. przyjechała z jedną walizką do Szczecina. I została. Za pośrednictwem stowarzyszenia Maximilian-Kolbe-Werk (niosącego pomoc byłym więźniom obozów koncentracyjnych) jeździła do Niemiec na wypoczynek i kwaterowała u niemieckich rodzin. Jej gospodarze czuli się winni za wojnę. – Kajali się, a mnie to denerwowało. Może jednak to im przynosiło jakąś ulgę. Ja natomiast myślałam, że takie były czasy. Był Hitler, nazizm, wojna, ból i cierpienie. Mimo to trzeba żyć dalej – mówi.

Jadwiga Wiktorczyk ze Szczecina miała w 1939 roku 17 lat. W rodzinnych Suwałkach jej narzeczony wciągnął ją w konspirację. Gestapo aresztowało ich w 1944 roku. Ona została wywieziona do Ravensbrück. Pracowała przy budowie drogi. I stały obozowy element: dotkliwy głód. Rano dostawała herbatę z żołądźmi, w południe pół litra zupy z brukwi, a wieczorem bochenek chleba na osiem osób. Pod koniec obozu niemal cudem wyzdrowiała z tyfusu. Czerwony Krzyż zawiózł ją do Danii i Szwecji, gdzie podreperowała zdrowie. W listopadzie 1945 wróciła statkiem do Polski. Potem podróż z Gdyni przez Warszawę i Białystok do Suwałk zajęła jej kilka tygodni. W sierpniu 1946 przeniosła się do Szczecina, gdzie jeszcze mieszkali Niemcy. Tu sprowadziła rodzinę, a w 1957 roku także ojca, którego odnalazła w Wielkiej Brytanii.

Co wiemy o obozach?

Przy lekturze *Złodziei wiary i nadziei* nasuwa się spostrzeżenie, że największym zmartwieniem autora i wydawcy było znalezienie byłych więźniów i skłonienie ich do wspomnień. To zrozumiałe, bo żyjących świadków tamtej historii jest coraz mniej i mają z reguły 80-90 lat. Nie zawsze pamiętają, nie zawsze chcą pamiętać... Ale gdyby selekcjonować rozmówców, to wyszłaby bardzo cienka książka. Jest gruba, ale odbija się to nieraz na narracji i dramaturgii. Brzmi to paradoksalnie, bo przecież każde, nawet krótkie uwięzienie w obozie koncentracyjnym, to był dla więźnia wielki dramat. To oczywiste. Ale nie jest już tak oczywiste, gdy próbuje się to po wielu dziesięcioleciach ubrać w słowa. Dlatego czytelnik nieraz pozostaje sam z własną wyobraźnią, stymulowaną jedynie strzypami wspomnień i obrazów.

Dzisiejsze młode pokolenie, wchodzące w dorosłość 70 lat po tamtym, jednym z najciemniejszych rozdziałów w dziejach, może mieć spore kłopoty ze zrozumieniem tego, co się wtedy działo (tak jak ten młodzieniec z opowieści Zbigniewa Pecia, pytający go, czy mógł z obozu dzwonić do domu). Dlatego

dobrym zabiegiem redakcyjnym jest umieszczenie na marginesach encyklopedycznych objaśnień, np. co to była łapanka, eksperymenty medyczne, getto. Ale czy starsze i „mądrzejsze” pokolenia wiedzą o obozach wystarczająco dużo? W pierwszym odruchu odpowiadamy twierdząco, zwłaszcza że ci, którzy wychowali się w PRL, byli tematyką wojenną i obozową bombardowani przez szkołę, telewizję, kino, literaturę, prasę. Jednak po chwili namysłu odpowiedź musi być sceptyczna. Bo – wbrew obiegowym opiniom – jesteśmy narodem zrośniętym mocno nie tyle z historią, ile z historycznymi i narodowymi mitami, które nadal troskliwie pielęgnujemy.

Może powinniśmy się uderzyć w piersi, że za słabo wykorzystaliśmy to, iż tyle lat żyliśmy u boku naocznych świadków historii, często w jednym domu i rodzinie. Ale to nie takie proste...

Hermann Langbein – austriacki więzień polityczny siedział w Oświęcimiu od 1942 do 1944 roku. Tak napisał w swej książce *Ludzie w Auschwitz*: „Każdy z nas nosi w sobie pamięć o Auschwitz naznaczoną osobistym piętnem, każdy miał »swoj« Auschwitz. Punkt widzenia wiecznie głodnego więźnia istotnie różnił się od perspektywy więźnia funkcyjnego, Auschwitz z roku 1942 był znacznie inny niż Auschwitz roku 1944. Każdy pojedynczy obóz tego wielkiego kompleksu obozowego stanowił odrębny świat. Dlatego też niejednen z byłych więźniów może poddać w wątpliwość tę czy inną relację: »Ja czegoś takiego nie przeżyłem – pierwszy raz o tym słyszę!«”⁴.

Pamięć etniczna

To dużej wagi stwierdzenie Langbeina ustawia perspektywę poszukiwań prawdy o obozach, czyniąc nasze wysiłki znacznie trudniejszymi. Pisze on tylko o jednym obozie (czy raczej kompleksie obozów), a przecież było dużo innych i miały jeszcze podobozy. Nie wolno też zapominać o budowanych w celu masowego mordowania europejskich Żydów obozach zagłady (Vernichtungslager, nazywanych też obozami śmierci – Todeslager), przez wielu do dziś mylonych z obozami koncentracyjnymi. Wypada je nazywać raczej ośrodkami zagłady, i to zagłady natychmiastowej, bo poza małą grupką więźniów funkcyjnych, nikt tam nie był więziony, lecz prosto z pociągu szedł do gazu. Siłą rzeczy relacji tych, którzy to przeżyli, jest zdecydowanie mniej. Ich nieliczne opowieści są na wagę złota także dlatego, że widzieli to, czego nie chcieli oglądać zbyt „wrażliwi” esesmani, bo opróżniające komory gazowe i obsługujące krematoria sonderkommanda składały się wyłącznie z więźniów. Co jakiś czas Niemcy ich zmieniali

⁴H. Langbein, *Ludzie w Auschwitz*, Oświęcim-Brzezinka 1994.

i zabijali, by nie pozostawiać świadków. Jedną z takich bezcennych i skrajnie poruszających relacji jest wypowiedź Filipa Müllera – słowackiego Żyda z sonderkommando w Auschwitz, wykorzystana w filmie *Shoah* Claude’a Lanzmanna: „Umieranie od gazu trwało od około dziesięciu do piętnastu minut. Najstraszniejsze w tym wszystkim było, jak człowiek utworzył komorę gazową i musiał patrzeć na tę potworną scenerię. Jak stłoczeni ludzie stali jak bazalt, jak kamienie. Jak wypadali z komór gazowych! Kilka razy sam to widziałem. I to było w ogóle najstraszniejsze, do tego człowiek nie mógł się przyzwyczaić, było to niemożliwe. Niemożliwe. Tak. Trzeba to widzieć tak, że gaz, kiedy go wrzucili, zaczynał działać, ale tak, że się... od dołu wznosił się w górę. I teraz w tej strasznej walce, która tam wybuchła – bo była to walka, która tam wybuchła – w... w... w... światła nie było, to znaczy było wyłączone w komorach gazowych, było tam ciemno, nikt nic nie widział. I ci silniejsi chcieli coraz wyżej. Bo prawdopodobnie czuli, że jak są wyżej, to wtedy więcej, mają więcej powietrza. I mogą łatwiej oddychać, tak? I tak wybuchła ta walka. A po drugie, większość tłoczyła się do drzwi. Tak, psychologicznie, bo wiedzieli, że tu są drzwi, może wyłamać drzwi. A więc instynktownie... w tej walce o ży... więc w tej walce na śmierć, która się tam odbywała. I to też było widać, że właśnie dzieci i ludzie słabsi, starsi ludzie, oni leżeli pod spodem. A najsilniejsi, ci byli u góry. Bo w życiu... bo w życiu... to znaczy w tej walce na śmierć nie rozpoznawał już, moim zdaniem, ojciec, że jego dziecko leży za nim, pod nim. I jak człowiek otwierał drzwi... ludzie wypadali. Ale... wypadali jak kawałek kamienia, duże kamienie, powiedzmy, jak z ciężarówki, jak balast. I tam, tam, gdzie był cyklon, było pusto. Gdzie leżały wsypane kryształy cyklonu, było pusto. Tak. Tam było całkiem puste miejsce. Prawdopodobnie ofiary czuły, że tutaj... cyklon działa najsilniej. Tak. Ludzie byli więc... ludzie byli poranieni, bo w tym zamieszaniu w ciemnościach powpadali na siebie, jeden wpadał na drugiego, zabrudzeni, od kału, krew z uszu, z nosa. Można też było zobaczyć, w niektórych przypadkach, że ludzie leżący na ziemi tak, powiedziałbym, przez napór innych tak nie do rozpoznania... nie byli nawet... można było ich... powiedzmy, dzieci miały porozbijane czaszki”⁵.

Ocalańców z tych ośrodków zagłady było bardzo niewiele i zapewne między innymi dlatego w *Złodziejach wiary i nadziei* tak niewiele jest o Żydach – największych i najtragiczniejszych ofiarach hitlerowskich obozów. Tyle że w zamierzeniu twórców książki miała być ona o Polakach. Ale co to znaczy? Zapewne daje tu o sobie znać polska przypadłość patrzenia na mieszkańców dawnej II RP przez pryzmat kryteriów etnicznych, a nie obywatelskich. Kryteria takie funkcjonowały także w obozach: dla więźnia-Polaka towarzysz niedoli będący Polakiem

⁵*Shoah* - blisko 10-godzinny film dokumentalny, reżyseria Claude Lanzmann, Francja 1985.

pochodzenia żydowskiego (nawet całkowicie zasymilowanym) nie był traktowany jako współobywatel i Polak. W ten sposób do grona Polaków nie zaliczono by np. Tuwima, Leśmiana, Brzechwy, Lema, Baczyńskiego, a nawet Mickiewicza, gdyby przyszło mu żyć w XX wieku.

Jednym ze skutków tego etnicznego podejścia była powojenna i trwająca do dziś rywalizacja na męczeństwo: nie dopuszczamy myśli, że ktoś mógł w czasie wojny cierpieć bardziej niż my – Polacy. Oczywiście „prawdziwi” Polacy. Subtelnie komentuje taką postawę Lech M. Nijakowski: „Choć zatem można mówić o planach częściowego ludobójstwa oraz mordach na ludobójczą skalę wymierzonych w narody słowiańskie, w tym Polaków, to jednak przyrównywanie się do cierpienia Żydów, którzy mieli się stać ofiarą totalnego ludobójstwa, jest społeczną nadinterpretacją”⁶. Jak napisał Feliks Tych, „niemal wszystkie badania opinii publicznej w Polsce mające bezpośredni lub pośredni związek z Zagładą i potocznie wypowiedane sądy na ten temat, wydają się wskazywać na nieświadomość znacznej części dzisiejszego społeczeństwa polskiego tego, co się naprawdę na tych ziemiach między 1939 a 1945 rokiem stało”⁷.

Po II wojnie, w czasach komunistycznych, z jednej strony polska sfera publiczna pełna była wojennej martyrologii i wspomnień, z drugiej zaś tematy te były przedmiotem ciągłych manipulacji i fałszerstw. Warto przypomnieć, jak w 1966 roku w ósmym tomie wydawanej przez PWN Wielkiej Encyklopedii Powszechnej pod hasłem „obozy koncentracyjne hitlerowskie” napisano o obozach zagłady – zupełnie prawdziwie: że były przeznaczone praktycznie wyłącznie dla Żydów, którzy stanowili 99% ich ofiar. Reakcja była gwałtowna. Władze, w których dominowały już środowiska narodowych komunistów (z Mieczysławem Moczałem na czele), rozpędziły redakcję encyklopedii, a do ósmego tomu dodrukowano wkładkę z „erratą” i przeprosinami (sic!), zalecając subskrybentom, by wyrwali „złą” stronę i wkleili nową. A w „poprawionym” hasle napisano: „obozy zagłady służyły realizacji biologicznego wyniszczenia narodu polskiego” i łaskawie dodano, że „były TAKŻE [podkreślenie moje – R.R.] narzędziem planowej eksterminacji ludności żydowskiej”

Pojawiały się również duże rozbieżności w liczbie ofiar nazistowskich obozów. Co do Auschwitz-Birkenau była ona przez kilka dziesięcioleci mocno zawyżona. Po ostatnich weryfikacjach ustalono, że zginęło tam nie 5 ani 3 mln, ale 1,1 mln ludzi, w tym 1 mln Żydów (90%), 70–75 tys. Polaków (blisko 7%), 21

⁶L. M. Nijakowski, *Pamięć o II wojnie światowej a relacje Polaków z innymi narodami*, w: *Między codziennością a wielką historią. Druga wojna światowa w pamięci zbiorowej społeczeństwa polskiego*, Warszawa 2010.

⁷F. Tych, *Obraz Zagłady Żydów w potocznej świadomości historycznej w Polsce*, „Znak” 541, 2000.

tys. Romów, 15 tys. jeńców radzieckich i 10–15 tys. innych narodowości⁸.

Ktoś może zapytać, dlaczego w tej statystyce również stosuje się kryteria etniczne, choć przecież duża część zamordowanych tu Żydów była obywatelami polskimi. Podział taki wynika z istoty Holokaustu: osoby pochodzenia żydowskiego były mordowane przez hitlerowców planowo, systematycznie i masowo TYLKO za to, że były Żydami czy też za Żydów zostały uznane (sięgając trzy pokolenia wstecz). Ich szanse na przeżycie – w obozie czy poza nim były niemal żadne. Podczas II wojny Niemcy sprawowali władzę nad 7,8 mln europejskich Żydów, z których wymordowano 6 mln, w tym 3 mln Żydów polskich (blisko 90%).

Czy naprawdę chcemy wiedzieć?

Jednak to nie rozbieżności statystyczne, zawodna pamięć więźniów, upływ czasu ani zakusy ideologiczne są największymi przeszkodami w ustaleniu, czym były obozy koncentracyjne. Najważniejsze przeszkody leżą w sferze psychicznej. Stajemy tu przed kilkoma dylematami:

1. O czym chcą/są w stanie/potrafia mówić byli więźniowie?
2. O co mamy prawo ich pytać?
3. Co chcemy od nich usłyszeć i co jesteśmy gotowi usłyszeć?

Do powszechnej świadomości dotarły już takie codzienne obozowe realia, jak nieustający ogromny głód (choć jest opinia, że nie zrozumie go ten, kto sam głodu nie doświadczył). Wiemy też, że doskwierało przejmujące zimno, nie tylko zimną. Wiemy, że więźniowie byli zmuszani do morderczo ciężkiej pracy. I że byli bici, a na każdym kroku groziła śmierć. Ale wcale nie to było istotą ich cierpienia. Istotą było skrajne upodlenie i upokorzenie. Każdy z nas doświadczył kiedyś mniejszego lub większego upokorzenia. Powszechną reakcją jest niechęć do mówienia o tym i pragnienie jak najszybszego zapomnienia. A nasze zwyczajne upokorzenia są niczym w porównaniu z przeżyciami obozowymi. Czy mamy więc moralne prawo namawiać byłych więźniów, by o tym opowiadali? To tak, jakby brutalnie zgwałconą kobietę prosić, by nam o tym opowiadała, i to wiele razy... Więc nie dziwnym się, że i bohaterowie książki *Złodzieje wiary i nadziei* często przez całe dekady nie chcieli nic opowiadać o obozie. A gdy już zdecydowali się mówić, powinno nas dziwić nie to, że mówią tak mało, ale że w ogóle mówią.

⁸ www.auschwitz.org.pl – oficjalna strona internetowa Miejsca Pamięci i Muzeum Auschwitz-Birkenau.

Lubimy proste schematy i hollywoodzkie scenariusze, zgodnie z którymi w obozach cierpieli szlachetni i bohaterscy więźniowie, a dręczyli ich źli esesmani, bestie, których nie uznajemy nawet za ludzi. Ten manichejski podział nie przystaje do obozowych realiów. A przy okazji umyka nam słynne, ale do dziś słabo przez nas przetrwane motto z *Medalionów* Zofii Nałkowskiej: „Ludzie ludziom zgotowali ten los”. Ludzie, nie bestie...

Sednem szatańskiego systemu upokarzania było to, że w roli upokarzających byli w obozie nie tylko esesmani, ale także sami więźniowie, i to nie tylko funkcyjni, tacy jak kapo. Mało tego, na co dzień największym wrogiem więźnia byli nie Niemcy, ale inni zwykli więźniowie, często z tej samej przyczyny. A więc upokarzani byli jednocześnie upokarzającymi. Upodlenie polegało na tym, że obozowe realia zmuszały do krzywdzenia współtowarzyszy, bo inaczej nie dało się przeżyć. Przykład: żeby żyć, trzeba jeść – choćby tę wodnistą zupę z brukwi. Żeby jeść, trzeba mieć łyżkę. Ale często nowy więzień łyżki w ogóle nie dostawał. Z reguły miał tylko jeden sposób, żeby się w nią zaopatrzyć: ukraść innemu. Podobnie z czapką: regulamin wymagał, by więzień ją miał. Jeśli nie miał, groziła mu śmierć. Więc gdy ją zgubił albo mu skradziono, musiał ją ukraść innemu więźniowi, skazując go w ten sposób być może na śmierć.

Na niemieckie rygory nakładała się nieformalna struktura obozowa, którą wytwarzali sami więźniowie. Jej istotą była hierarchizacja. Nie było w niej miejsca na współczucie i solidarność. Najsłabszymi pogardzano i funkcjonowali oni z etykietką „muzułmana” – człowieka, który już nie walczy, poddał się i „dojrzał do komina”. Ich dni były policzone. Na samym dnie tej nieformalnej hierarchii byli Żydzi, którymi inni więźniowie pogardzali nawet w obozie.

Wysoka cena szczerości

W świetle powyższych faktów trudno się dziwić, że bardzo niewielu byłych więźniów odważyło się otwarcie zmierzyć ze swymi obozowymi przeżyciami. Jedne z najważniejszych świadectw dali: Tadeusz Borowski w swych oświecimskich opowiadaniach oraz Primo Levi – Włoch, który przeżył Auschwitz i swe doświadczenia zawarł w kilku przejmujących książkach. „Moralność, solidarność narodowa, miłość ojczyzny, poczucie wolności, sprawiedliwości i godności ludzkiej opadły w tej wojnie z człowieka jak przegniły łach. Nie ma zbrodni, której by człowiek nie popełnił, aby siebie ocalić”⁹ – pisał Borowski. Zarzucono mu cynizm i nihilizm, bo w oficjalnej narracji więźniowie musieli być niezłomnymi

⁹ T. Borowski, *Ofensywa styczniowa*, w: *Pożegnanie z Marią*, Warszawa 1947.

bojownikami i nieskalanymi męczennikami. Borowski w 1951 roku odebrał sobie życie. Pośmiertna recepcja jego twórczości była dziwna. Opowiadania te stanowiły przez wiele lat w Polsce szkolną lekturę, ale gdy uczniowie dorosli, to obraz kreślony przez Borowskiego z kretesem przegrał z heroiczo-martyrologicznym mitem, który do dziś ma się znakomicie. Dlatego teraz robimy wielkie oczy ze zdziwienia, gdy w nowych publikacjach czytamy np. o domach publicznych dla więźniów w obozie w Oświęcimiu. Po chwili przychodzi refleksja: zaraz zaraz, przecież Borowski pisał o tym tuż po wojnie!

Primo Levi napisał w 1947 roku wstrząsającą książkę *Czy to jest człowiek* – jedno z pierwszych i uznane potem za jedno z najważniejszych świadectw z Auschwitz. Na tytułowe, dotyczące więźniów pytanie, autor odpowiada przecząco: „Osoby opisane na tych stronach nie są ludźmi. Ich ludzkość została pogrzebana lub oni sami ją pogrzebali na skutek zniewag doznanych lub wyrządzonych innym”¹⁰. Levi tak opisywał tworzenie się podziałów wśród więźniów: „Automatyczne, nieuchronne powstawanie hierarchii wewnętrznej w społeczności ofiar jest faktem, nad którym zbyt mało się zastanawiano, nad faktem, że wszędzie znajdzie się więzień, który wypływa na plecach swoich współbraci. [To jest warunek] potrzebny do funkcjonowania obozu. Był wykorzystywany przez hitlerowców. Ale nawet nie inspirowany przez Niemców, sam się wytwarzał. (...) Wśród tak nieszczęśliwych ludzi nie mogło być solidarności, nie było; i to był pierwszy szok, szok najstraszniejszy. W drodze do obozu ja i inni skazańcy jak ja myśleliśmy: »Skazani na cierpienia, będziemy jednak wśród towarzyszy niedoli«. Nie okazało się to prawdziwe. Znaleźliśmy się wśród wrogów, nie wśród towarzyszy”¹¹.

Levięgo w obozie prześladował koszmarny sen: po wyjściu na wolność i powrocie do Włoch opowiada o swych przeżyciach przyjaciółom i najbliższym, ale nikt go nie słucha. Był to proroczy sen, bo taka właśnie była reakcja, gdy w 1947 roku ukazała się jego pierwsza książka. Spotkała się z obojętnością, nie została zauważona, co jest niesamowitym ewenementem, bo nie sposób przejść obojętnie obok tego, co opisuje Levi. Ponadto przez lata dręczyła go obsesja świadka i borykał się z paradoksalnym wstydem przeżycia. Zmarł w niejasnych okolicznościach i do dziś nie ma pewności, czy nie było to samobójstwo.

Notabene Polacy jako zbiorowość do tej pory nie poradzili sobie dojrzałe z syndromem świadka. Na naszej ziemi i na naszych oczach lub na oczach naszych rodziców i dziadków popełniono największą zbrodnię w dziejach świata. W sposobach radzenia sobie z tą traumą dominował mechanizm typu „to nas nie dotyczy”. A przecież dotyczy, nawet bardzo... Dotyczy także tych, którzy

¹⁰ P. Levi, *Czy to jest człowiek*, Kraków 2008.

¹¹ F. Camon, *Rozmowa z Primo Levim*, Oświęcim-Brzezinka 1997.

nie przyłożyli ręki do Zagłady i byli jedynie jej biernymi świadkami. Jasne, że obozy były niemieckie. Dziwi jednak widoczny ostatnio nieco histeryczny polski nacisk, by mówić „Auschwitz” zamiast „Oświęcim”. To jak w takim razie mamy mówić na mazowiecką Treblinkę, lubelski Sobibór czy Belżec? Mają wyłącznie polskie nazwy. A były to obozy zagłady straszniejsze niż Auschwitz, o czym nie chcemy pamiętać. Dla nas były dużo mniej ważne, bo nie ginęli w nich Polacy. Co z tego, że wiele ofiar czuło się Polakami, skoro dla nas nie byli to „prawdziwi” Polacy. Dlatego mało który warszawiak wie, jaki obóz śmierci stał się ostatnią stacją mieszkańców warszawskiego getta. To Treblinka – „miejsce, w którym zginęło 300 tys. warszawiaków, polskich obywateli, plus co najmniej 300 tys. Żydów polskich z innych miejscowości. Czy jest do pomyślenia, aby przeciętny polski inteligent nie potrafił wymienić nazwy miejsca, w którym zamordowano 300 tys. polskich mieszkańców stolicy, a ogółem 600 tys. Polaków?” – pyta F. Tych¹².

Od siebie dodam: czy jest do pomyślenia, by gospodarz zachował obojętność i powiedział, że go to nie dotyczy, gdyby do jego domu wpadli bandyci i okrutnie zamordowali współlokatorów z sąsiedniego pokoju? Pytanie retoryczne, bo wiadomo, że to nie do pomyślenia. Obojętność może być jedynie wyrazem wyparcia problemu, który cały czas czeka na głębokie przepracowanie.

Auschwitz przeżył także Szymon Lachs – pisarz, publicysta i kompozytor, który jako więzień przez ponad dwa lata grał w obozowej orkiestrze w Birkenau, był też jej dyrygentem. Jego wspomnienia są co najmniej tak gorzkie i wstrząsające jak Leviego: „Każdy z nas miał przed sobą jedną z dwu możliwości: albo bić i katować bliźnich, albo być przez bliźnich bity i katowany. Nasze poczucie godności i człowieczeństwa uważane było za występki; rozumowanie logiczne jako objaw obłądki; miłosierdzie jako oznaka chorobliwej słabości fizycznej i moralnej. Natomiast najpodlejsze instynkty ludzkie, tępiące przez odebrane wychowanie i nabytą kulturę, przemieniły się w autentyczne cnoty obozowe, stając się jednocześnie jednym z warunków koniecznych – acz niedostatecznych – przetrwania”¹³. Lachs dobrze pamięta obozową hierarchię: „Żył się w świecie, w którym geniusz niemiecki wynalazł, obwieścił i wprowadził w życie unowocześnioną teorię Darwina. Rodzaj, który zazwyczaj nazywamy »ludzkim«, obejmował tutaj z grubsza cztery kategorie:

1. Nadludzie - czyli Niemcy-Aryjczycy, miłujący Führera i posłuszni jego hasłom i rozkazom.

2. Ludzie - czyli Niemcy-Aryjczycy, myślący i działający inaczej niż Führer przykazał.

¹²F. Tych, dz. cyt.

¹³S. Lachs, *Gry oświęcimskie*, Oświęcim-Brzezinka 1998.

3. Podludzie - czyli wszyscy pozostali Aryjczycy. I wreszcie:
4. Robactwo - czyli Żydzi, Cyganie i inne szumowiny dwunogiego społeczeństwa.

Podział ten nie jest żadną rewelacją, ale rewelacją będzie może znamieny fakt, że został on przyjęty jako wyznanie wiary przez samych więźniów. Nie tylko przyjęty, ale i stosowany w praktyce. A więc pierwsza kategoria uważała za »coś gorszego« pozostałe trzy, druga – pozostałe dwie, trzecia – czwartą, a sami Żydzi uważali się za coś gorszego od Cyganów, za coś najgorszego od wszystkich. Nie było chyba w żadnym obozie Żyda, który ośmieliłby się pomyśleć, że jest takim samym człowiekiem jak każdy inny. Byłaby to czysta herezja¹⁴.

Wraca więc pytanie: czy my w ogóle chcemy o tym słuchać? Czy jesteśmy gotowi to przyjąć? To bardzo trudne. Wymaga od nas ostrej weryfikacji nie tylko własnych wyobrażeń o obozach i więźniach, ale przede wszystkim o ludziach, o człowieku jako takim, a więc też wyobrażenia o sobie samym.

Pan Bóg nie miał czasu być nad Auschwitz

Motto *Złodziei wiary i nadziei* zaczerpnięto ze słynnego biblijnego psalmu 23: „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną”. Kilku bohaterów książki podkreśla, że wiara i modlitwa pomogły im przetrwać. Jednak wielu więźniów nie miało tego szczęścia: albo Bóg nie uchronił ich przed śmiercią, albo stracili wiarę. Klasyczne jest już pytanie: gdzie był Bóg w Oświęcimiu? Szczególnie przenikliwie rozbrzmiewało ono w obozach zagłady (jeden z nich wchodził w skład kompleksu oświęcimskiego), gdzie do gazu albo żywcem do krematorium pakowano małe żydowskie dzieci. Emmanuel Levinas twierdził, że Auschwitz był dziurą w dziejach i wtedy Bóg powrócił do swej nieobjawialności. Jeszcze inni, próbując rozpaczliwie znaleźć odpowiedź, doszli do wniosku, że Bóg umierał razem z więźniami w komorze gazowej. Primo Levi w cytowanej tu już rozmowie z Ferdinandem Camonem powiedział: „Skoro jest Oświęcim, to nie może być Boga”. A na maszynopisie dopisał ołówkiem: „Nie znajduję rozwiązania dla tego dylematu. Szukam go, ale nie znajduję”.

Dylemat ten znalazł też inny więzień Auschwitz – Marian Pankowski. To zmarły w tym roku znakomity, choć mało znany pisarz. W obozie stracił wiarę. Tak opowiada o kluczowym momencie: „Kiedy rano szliśmy do pracy, czysto ubrani, ze śpiewem na ustach, widziałem za ogrodzeniem ponad setkę Żydów – kobiety, dzieci z walizkami – którzy na nasz widok delikatnie się uśmiechali. Wyobrażali sobie pewnie, że tak będzie wyglądał ich pobyt w obozie. Wieczorem,

¹⁴S. Lachs, dz. cyt.

kiedy wróciłem do obozu, leżały już tylko walizki. Po zjedzeniu zupy wyszedłem z baraku spotkać się z kolegami i zobaczyłem nad krematorium czerwone jęzory ognia. I wtedy pomyślałem: Żydzi z porannym uśmiechem lecą teraz do Pana Boga, a jego tam nie ma. (...) Pan Bóg był wtedy w Castel Gandolfo i układał sobie pasjanse. Nie miał czasu być nad Auschwitz¹⁵

* * *

Złodzieje wiary i nadziei to książka potrzebna, zwłaszcza że bezpośrednich świadków tamtej strasznej historii pozostało już niewiele. Po 1989 roku odzyskana przez Polskę wolność paradoksalnie utrudniła – zwłaszcza młodszemu pokoleniu – dowiadywanie się, czym były hitlerowskie obozy, albowiem nastąpił zalew relacji z innych obozów: z sowieckich łagrów na Sybirze, o których wcześniej nie wolno było głośno mówić (teraz wolno, ale sposób narracji jest – nazwijmy to – tradycyjny, więc jego owocem są kolejne mity). Mimowolnie więc losy więźniów kacetów zepchnięte zostały w cień. Dochodziła jeszcze – zbyt pochopna – reakcja, że przecież o hitlerowskiej okupacji mówiono w PRL aż do znudzenia i przesytu, więc już wystarczy i zajmijmy się białymi plamami, jak np. losami Polaków na Wschodzie. Reakcja była zbyt pochopna, gdyż życie pod niemiecką okupacją i rzeczywistość nazistowskich obozów do tej pory aż roi się w polskiej pamięci zbiorowej od białych plam. Mamy ich pod dostatkiem, ale nie może być inaczej w kraju, gdzie zbyt często zamiast rzetelnej historii uprawia się narodową mitologię.

Doceniemy tę książkę. Ale przy jej lekturze miejmy świadomość, że z zebranych tu relacji wylania się tylko mały wycinek obozowej rzeczywistości. I choć wieje z nich niewyobrażalna groza, to wcale nie jest to wycinek najstraszniejszy.

Najważniejsze, byśmy z tragicznej historii wyciągnęli naprawdę sensowne wnioski i nie poprzestawali na zakłęciach typu „oby to się nigdy nie powtórzyło”. W domyśle takich formułek pobrzmiwa: „oby nikt nam już nigdy czegoś takiego nie zrobił”. To fałszywy trop. Baczmy nie na to, by los uchronił nas przed „urodzonymi mordercami”, bo żaden człowiek ani żaden naród nie rodzi się jako zbrodniarz i oprawca. Przy splocie okoliczności może się nim szybko stać niemal każdy z nas, czego dowiodły najsłynniejsze eksperymenty psychologiczne Philipa Zimbardo i Stanleya Milgrama. Są one ostrzegawczym memento i puentą okrucieństw, które znamy nie tylko z II wojny, lecz także z całkiem współczesnego świata, a nawet Europy (choćby z Jugosławii). Czyńmy więc wysiłki duchowe, psychiczne, społeczne, edukacyjne, wychowawcze – byśmy sami nie stali się oprawcami. A zacznijmy od starań, byśmy nie byli obojętni na nietole-

¹⁵W literaturze jestem Żydem, rozmowa z Marianem Pankowskim, „Gazeta Wyborcza” 21.12.2007.